

O tym, jak Jimmy Estrada szukał aktora porno — mikel7

Od autora: Kolejne opowiadanie zainspirowane prozą Bukowskiego, a więc stylizacja językowa celowa, tudzież tematyka taka, a nie inna. Gdzieś w tle echa mistrza Chandlera. Zapraszam do świata podejrzanych typów i kobiet niecieężkich obyczajów. Gotowi? No to jedziemy :)

W życiu najczęstsze są dwie sytuacje: albo coś spieprzyłeś,

albo ktoś kazał ci spieprzać.

(Jonathan Carroll)

Po zjedzeniu kurczaka z rożna, którego zamówił u Pызatego Franka, gościa lubiącego włoską muzykę i obfite, włoskie biusty, Jimmy poszedł się starannie wysrać.

Zawsze zużywał ponad pół rolki papieru toaletowego naraz, takiego z wyższej półki, bo jako zdeklarowany pedant nie chciał widzieć brązowej smugi na jasnym zwitku, a co za tym idzie, pasa startowego na swoich nowych, chińskich slipach, które kupił u kaprawego Azjaty za dziesięć centów, kiedy wielokrotnie łapał heban na pobliskiej plaży, obserwując gorące laski, z którymi chętnie poleciałby w hiszpana na pace swojego leciwego, zardzewiałego sztrucla.

Po wyjściu z łazienki, ruszył w kierunku barku, nalał sobie szklankę whisky i wypił.

Bezcenna błogość wypełniła trzewia, więc zleął na łóżku i przez chwilę drapał się po kroczu.

Wtedy zadzwonił telefon o wyjątkowo paskudnym, piskliwym dzwonku.

Odebrał mocno zniesmaczony, bo chciał złapać trochę bezcennego, popołudniowego luzu, a nie wdawać się w gadki-szmatki, na które nie miał bynajmniej najmniejszej ochoty.

- Jimmy? – zapytał znajomy głos w słuchawce.

- Jasne, Paco.

- Chciałbym się spotkać, pogadać, są sprawy, które...

- Znów chcesz wziąć ode mnie w komis parę baksów, a potem wyciąć dzidę z jakąś małolată, która lubi marszczyć freda? Jestem ostatnio cienki na kasę. Chciałem zrobić pocisk na tę sprawę, ale nie wiem, jaki idzie ta bajka.

- Bo widzisz, ja chyba coś wiem.

- Ty? Jak masz Saharę w pysku, to oznajmisz każdą prawdę objawioną.

- Małżeństwo Brownów to wielka, seksualna przystań dla różnych patoli. Nazywa się „Błękitna Laguna”. Dla stałych klientów mają zniżkę. Ponoć oni tam wracają jak w dym.

- Wiem co nieco o tym. Tam niezłe melanże odchodzą. Jest naprawdę tłusto. Chcesz iść do laskomatu, bo cię swędzi pióro, to wal do nich, a jak chcesz poczuć prawdziwą, męską miłość, to też dobry adres. Na specjalne zamówienie mają też lolity. Jak kto chce, to i sado-maso się znajdzie. A i możesz ubić krzaka.

- Mają świeży towar. Bawisz się tam do bólu i masz ten komfort, że nie obudzisz się rano z własnym penisem w ustach. Więc luzuj majty, Paco, ciesz się, że nikt ci tam nie przyżenił kosałki.
- Wiesz, byłem tam pięć razy i niezłą dechę piłowałem. Sonia się nazywała i wyglądała jak Marylin. Na sam widok miałem we łbie zamułę.
 - Hola, hola, ziomuś, po co mi to gadasz?
 - Bo nie daje mi to spokoju, co się z nią stało.
 - Może ma wolne?
 - One robią na okrągło.
 - Co cię tak wzięło? Dziwki są wszędzie, nie ta, to inna. Możesz przez jakiś czas poleć na ręcznym. Niektóre mięśnie warto ćwiczyć, bo zanikają.
 - Chcę ją z tego wyciągnąć, może zostać z nią już tak na sztywno.
 - W ptaka sobie lecisz? – zaśmiał się Jimmy.
 - Chyba się zakochałem.
 - *Jak nie było białej wrony, tak nie zrobisz z kurwy żony.*
 - Powęszyłbyś z nią?
 - Paco, nie zapominaj, że szukam Teda Jardine, tego słynnego aktora porno. Wytwórnia filmowa, dla której pukał laski, słono płaci za jego wacka. Kasa, że nie w kij pierdział. Jak go szybko znajdę, dadzą tyle, że kupię za to nowy dom.
 - Może weź do pomocy Styropiana – powiedział Paco.
 - Nie wiem, czy ma geny do tej sprawy.
 - Odkąd go stara zostawiła dla jakiejś małolaty, chodzi wiecznie nawalony i gada coś o piekle.
 - Może on jest już po drugiej stronie tęczy?
 - Odpalisz mu dołę, a drgnie z miejsca, kocha zapach dołców. Weź na go na dupy, niech pochędoży, to mu się rozjaśni pod kopułą.
 - Niezły pomysł. Ma już swoje lata, ale nigdy nie odwalił trzody chlewnej. Pamiętam, jak w 1963 namierzył tego psychola, co to porwał listonosza, zamknął go w piwnicy, trzymał trzy dni, a potem po uduszeniu go plastikową reklamówką, zjadł sznycle z jego policzków. Resztę mięsa posolił i ukrył w zamrażarce. Najlepsze było to, że potem stał od rana do wieczora na głównej ulicy i rozdawał biednym kasę, którą listonosz miał na emerytury. Szybko wpadł, Styropian w ciula nie walił, a pieprzony kanibal zebrał baty.
 - Poszukacie Soni?
 - Ale cię przypiliło, że macki opadają.
 - Dzień dobry, pan Jim? – zapytała młoda kobieta o słodkim głosie po drugiej stronie telefonu.
 - Toć nie Julio Iglesias. Słucham.
 - Tu wytwórnia „Rurka w dziurce”. Chciałam się dowiedzieć, jak idzie panu śledztwo.
 - Póki co cmokam w mordę różowego miśka, a i na beczela poginam centralnie na miękko.
 - Słucham?
 - A wie pani, co to jest bąk?
 - Nie.
 - To taka nakręcana zabawka, która kręci się w kółko. Już pani jarzy?
 - No trochę...
 - To ja tak mam z tym waszym amoroso.
 - Bo pan Jardine jest pilnie potrzebny. Mamy kontrakty, zobowiązania, on gra u nas w większości filmów. To mistrz wszech czasów, Elvis kina porno!
 - A widziałem go raz. Miał takie muły, jakby nieźle machał złomem na siłce. No i coś jeszcze, he he.
 - I ten detal jest dla nas bezcenny, panie Jim, jest wprost boski! Nie możemy go stracić, on jest logo naszej wytwórni. To bóg seksu, prawdziwy, latynoski zaganiacz. Och... co za mężczyzna. Pan go musi zna-

leżć. Proszę. Bez niego wylecimy z rynku. Szef kazał przekazać, że dorzuca dziesięć procent premii. A i ja... mogę panu to wynagrodzić po swojemu... - mówiąc to, wyszeptała zmysłowo każde słowo.

- Ale się porobiło.
- Wiem, co potrzeba mężczyźnie. Chce pan mój adres? Jestem Linda.
- Dawaj.
- Wpadniesz jutro?
- Jasne.
- Czekam o siódmej.
- Spoko.

Jimmy właśnie po pańsku odcedzał kartofelki, nie lejąc na deskę, pozostawiając tę niegodziwą przypa-
dłość mentalnym pastuchom, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi.

Prawdę mówiąc, nikogo się nie spodziewał, był typem samotnika.

Tego wieczora miał zamiar opróżnić butelkę whisky, obejrzeć pornosy i iść spać.

Załóżył spodnie i leniwie zerknął przez wizjer: po drugiej stronie stał Styropian.

- Ja cię sunę, poważka? To ty, Billy?
- Ja we własnej osobie – odparł Styropian.
- Chodzą słuchy, że ostatnio z ciebie dżepetto, babą się przejąłeś? Znajdziesz inną, tylko na to czekają, żeby pokicać na twoim drażku. Nie mięczakuj, główka do góry i do ataku.
- A pieprzę to w czapkę.
- Nie pieprz w czapkę, bo będziesz mieć dzieci z daszkiem.

Kiedy już usiedli i Jimmy rozlał whisky do szklanek, Styropian zapytał:

- Paco był u mnie. Jedziemy jak widać na tym samym wózku. No i tego ruchacza jeszcze trzeba znaleźć, tak? A kiedy on zaginał?
- A będzie już ze trzy tygodnie.
- I co tak zniknął, jakby nigdy nic?
- Pewnego dnia nie pojawił się w studio. Dzwoniono do niego, ale dupa martwa: koleś wyparował w ko-
smos. Gadałem z sąsiadami, ale kiedy on wraca, oni już śpią, a kiedy on śpi, oni są w robocie. Jest kasa
do zarobienia, odpalę ci jak kumplowi, ale musimy ruszyć z kopyta, bo wezmą kogoś innego i damy sz-
pary. Póki co globalne kowalstwo.
- Ostatnio nie jestem bolo na kasę, więc wchodzę. Ta mała zdzira wybiła mnie z równowagi. Jak się zaj-
mę robotą, to mi ze łba wyparuje.
- Święte słowa, Billy. Ten wkurw cię wkrótce puści, jak pójdziesz w ruch. A jak będziesz miał trochę
grosza, to cipkę łatwiej przygruchać, bo bogaci są przystojniejsi.
- No to co robimy, Jimmy?

Przypomniała mu się prośba Paco, by odnaleźć Sonię, a że zawsze był wiernym ziomkiem, a takie sprawy
są ważniejsze od całego złota tego świata, więc zagadał:

- Ty poszukasz tej małej, a ja będę dalej rzeźbić w tym gównie. Jak komuś uda się szybciej uporać ze
swoją działką, razem pociśniemy, ale póki co, zróbmy to w ten sposób, ok.?
- Ok. Będzie rozklepiocha.

W chwili, kiedy Jimmy zszedł z Lindy, zaczęło padać.

Pogoda zrobiła się szpetna jak twarz teściowej o poranku.

Kobieta wyszła spod kołdry i zamknęła okno – miała naprawdę soczysty tyłek, taki, co to lubi solidną
jazzę bez trzymanki i wielokrotnie powtórki.

- Kiedy babka rżnie się z facetem na pierwszej randce, to albo jest kurwą, albo się zakochała – powiedział Jimmy, pijąc z gwinta chilijskie piwo, od którego zawsze miał zgagę.
- Raczej to pierwsze – powiedziała Linda. – Lubię poczuć, jak się staracie.
- Ja jestem tu tylko gościnnie.
- On też tak gadał.
- No i?
- Nikt mi tak w życiu nie dogodził. To kochanek idealny, och, ciągle o nim myślę.
- Tylko tyle?
- Mam z nim dziecko.
- O!
- Zapłaciłam mu, żeby dał mi swoje nasienie. Nawet wzięłam kredyt.
- Kim był dla ciebie?
- Bogiem, z którym chciałam mieć potomstwo.
- Jaja jak balony! Widzę, że się trochę czesko robi.
- Jimmy, to najpiękniejszy mężczyzna, jakiego w życiu widziałam.
- A gdzie miłość? Czułość, uczucie? Poszło ci lewą nogawką?
- Jest ojcem mojej córki...
- Nie wciskaj mi lipy, jeszcze może powiesz, że miałaś plombę gwarancyjną.
- Tak, byłam dziewczicą...
- Nie gziłaś się nigdy z żadnym chłopem? Tak cię opętał? Takie bajki puszczają w Cartoon Newtork.
- Urodzić jego dziecko, to jak urodzić dziecko Elvisowi.
- Elvis ma już dziecko.
- No to co?
- To po co mu drugie?
- Lubiłam robić chłopakom dobrze, ale żaden mnie nie miał. Teraz jest tak, jak chciałam, by było.
- Czyli?
- Znajdź go, proszę, chcę, by znów dał mi dziecko.
- A masz kasę?
- Tak.
- To może ja ci zrobię. Lubię uczciwie zarabiać swoje pieniądze.
- To jakiś żart?
- Nie. Mam dobry genotyp. Mój dziadek żył sto dwa lata i do końca jeździł na skuterze.
- Ale nie jesteś aktorem porno.
- Chwila, a kto dziś cię trzy razy puknął?

Jimmy akurat wysmarkiwał zawartość nosa z balkonu na trawnik, kiedy zadzwonił Styropian. Pociągnął z butli, głucho pierdnął i odebrał:

- Tak?
- To ja, Billy. Byłem w tym burdelu i polecałem po calaku. Wchodzę i pytam, gdzie szef. Wyszedł jakiś byk i pyta, o co mi biega, bo jak mi o nic nie biega, a szukam dymu, to on mnie zaraz tak wydyma, że mi uszami pójdzie. No to ja mu, że chodź, kolego, na zaplecze, bo gadka będzie grana i spod kurtki wyciągamy gnata. Zbaraniał i poszliśmy. Ja go pytam, coś ty za jeden, bo jak w knota polecisz, to nie ze mną, a z FBI będziesz mieć do czynienia, lecimy na dwa baty. A on, że jest znany jako Pierre Dollony. Ja mu na to: „Koleś, bo jak ci zrobię dziurkę w tym tępym czółku, to ci dopiero w piekle zalepią szatańskim gównem”. Ja mu, gdzie jest Sonia, co się z nią stało. On mi gada, że wcięło ją. Ja mu, żeby nie kitował. On dalej w zaparte. Szlag mnie trafił, złapałem go i zacząłem kręcić wora. Zemdłał. Usiadłem sobie w fotelu, zapaliłem papierosa. Patrzę, podnosi się. Więc pytam, czy jest gotowy na szczerzy dialog ze mną. A

ta kutasina mi na to, żebym się pierdolił, no to łapię go za worek i znów kręcę. Syknął tylko i gleba. Podszedłem do okna, otworzyłem, piękny widok. Ocknął się i chyba skumał, że w bena nie poleci. Więc pytam, co z Sonią. On, że ostatnio oblatywał ją pan Stan. Ja na to, a co to za jeden. On mi, że mogę go załtuc, ale nie powie. Wsadziłem mu klamkę do gęby i pytam grzecznie raz jeszcze, co to za pan Stan. Kiedy zobaczyłem, że się spompował w majty, nie chciało mi się już tam być.

Kiedy parę dni później Jimmy spotkał się w barze z Paco, natychmiast zapytał, czy wie coś o panu Stanie, nie mówiąc mu na razie, czemu właśnie o to pyta.

Nie chciał pogłębiać go informacją, że Sonia pruka się też z innymi.

- Coś mi to mówi, ale co za cholerę nie dojdę... - powiedział.

- No to mizernie. Ten facio może być naszym światłem w tunelu. Trza go jakoś namierzyć. Jak na razie jest kaszana, a taki układ wybitnie mi nie leży. To jak turlać dropa pod górę.

- A co z tym aktorem?

- Gadałem z sąsiadami, ale on żył swoim życiem: albo był w wytwórni, albo imprezował, a bywało też, że w pewnej spelunie grał ostro w pokera. Tak powiedział mi ktoś, z kim Jardine czasem rozmawiał. Zamierzam sprawdzić ten adres, bo każdy trop może być na wagę złota.

Nagle przy barze pojawił się wysoki mężczyzna, z metra cięty, o tak szpetnej twarzy, że mógłby straszyć nią dzieci w snach. Był cholernie obleśnym i zaplutym przychlastem, typem kolesia lubiącego starannie onanizować się na tyłach supermarketu. Wyglądał, jakby anatomicznie różnił się od reszty rasy ludzkiej i przeszedł osobliwie odmienny tok ewolucji. Jego oczy idealnie oddawały to, co medycyna zwie alkoholizmem. Głośno beknął, po czym wskazującym palcem podłubał w nosie, a na koniec pod wpływem decyzji, która zrodziła się z niemożliwego kaca, podszedł do nich i z rozbrajającą szczerością zagaił:

- Hej, chłopaki, ładna pogoda, słońce świeci, ziemia kręci się dookoła, więc może zaprosicie mnie do wodopaju, a i szlugiem nie pogardzę.

- Lecę na czystych płucach od maja – powiedział Jimmy. – Co się tak lampisz?

- A bo ja cię chyba znam, mistrzu, to ty jesteś tym prywatnym łapsem. Ponoć nieźle kozaczysz w te klocki, prawda to?

- Prawda to jest, że dwa razy dwa to pięć. A coś ty za jeden?

- Wołają nam mnie Krzywomord. Lubię utrzymywać stałe stężenie. Przecież gardło nie jest od śpiewania, dobrze gadam?

- Dobrze gadasz, tylko źle zęby składasz.

Nagle Jimmy doznał olśnienia – to spadło na niego jak koparka ze skarpy do rzeki.

- Koleś, a chcesz zarobić parę dolców? – spytał pijaka. - Znasz Teda Jardine?

- To ten, co tak ostro sztyftuje?

- Ten sam. Może go widziałeś ostatnio? Niedaleko stąd mieszka, hm?

- Ja nie, ale dam ci pewniaka. Jest taki człenio, co wołają na niego Szczербaty Josh. Wal śmiało. Zero lipy. Gościu da ci to, czego jeszcze nie masz. Mieszka w starej, zielonej ciężarówce, która stoi na posesji przy Palm Street 33.

- Nie srasz żarem?

- No co ty, stary, jestem człowiekiem honoru. My, ludzie ulicy, to sól tej ziemi.

- Obyś się nie mylił. Masz – mówiąc to, dał mu dwudziestodolarowy banknot.

- Coście za jedni, człowieku? – zapytał siwiuteńki jak gołąb starzec, dłubiący palcem w uchu.

- Jimmy Estrada, prywatny detektyw. Pogadamy? To pan jest Szczербaty Josh?

- Nie.

- Jak to nie?
 - A tak to. Ten głupi fajans dwa dni temu utopił się w dole z gnojówką.
 - Poważnie?
 - Poważnie. Jak się chla od tygodnia na okrągło, to się powinno siedzieć na dupie w domu.
- Szybko i bezproduktywnie skończyła się ta krótka rozmowa.

Niebawem Jimmy pojawił się w spelunie „U Sztywnego Ala”, gdzie ponoć słynny aktor porno grywał na miętnie w pokera, i pierwszą rzeczą, jaką zauważył po wejściu do lokalu, był stolik, przy którym siedziało kilku mężczyzn, a dwóch z nich siłowało się na rękę.

- Dawaj, Val, dawaj!
 - Nie odpuszczaj, Rick, dasz radę! W puli jest ponad sto dolców.
- Walka trwała jeszcze ponad minutę, po czym wygrał ją gość o imieniu Rick. Z błyskiem w oku schował forszę do kieszeni i krzyknął radośnie do kelnerki:
- Candy, browar dla pokonanego! To już nie te czasy, co, Val? Było nie rzucać tamtej roboty. Pan Stan przecież nieźle płacił, ale wilka ciągnie do lasu.
 - Lubię ryzyko, a nie pierdzenie w stołek. Zresztą po tamtej wygranej mogłem żyć jak król. Puściłem z torbami kilku dzianych facetów, którym wydawało się, że jestem ciemniakiem.
 - Ale ostatnio lichy lecis. Dobrze, że Maria ma dobrą pracę, bo byś w ogóle odmiękł.
- Jimmy nie przesłyszał się: jeden z nich mówił o panu Stanie. Wszystko wskazywało na to, że mowa o tej samej osobie, która korzystała z usług Soni. Podszedł do baru i zamówił piwo, uważnie słuchając każdego słowa.

W miarę, jak mężczyźni zaczęli rozmawiać o panu Stanie, w wyobraźni Jimmy’ego pojawił się następujący obraz:

To on zawsze wymyślał zakład, lecz niezmiennie łączyło się to ze śmiertelnym ryzykiem. Niektórzy dla kilkunastu tysięcy dolarów skakali z mostu, inni płynęli z biegiem rzeki dziesięć kilometrów, a byli też i tacy, którzy rozpędzonym samochodem, kupionym za grosze, lądowali w jeziorze i musieli z niego cało wyjść, nie brakowało też śmiałków, chodzących po cienkim lodzie zimą lub stojących w lodowatej wodzie przez kilka godzin. Pomysłowość pana Stana była nieograniczona i zawsze wiązała się z wodą. Swoimi kanałami rzucał hasło i czekał na chętnego na zasadzie „kto pierwszy, ten lepszy”. Żelaznym warunkiem wzięcia udziału w zakładzie była absolutna dyskrecja. Dla niektórych przegrana z nim oznaczała bankructwo i bolesny upadek.

Kiedy przegrywał pan Stan, wszyscy byli zadowoleni, gdyż jedna strona traciła tylko pieniądze, których miała w bród, druga zaś je zdobywała, przeżywając nerwy pełne euforii i dając intrygujące przedstawienie obserwującej to drugiej stronie. Bo samo patrzenie było również mocnym wrażeniem. Ten komfort, że jest się daleko od zagrożenia, że się tylko biernie patrzy i przeżywa ekscytujące napięcie...

Wszyscy w tej grze byli od niej równie uzależnieni – to działało jak narkotyk. W chwili, gdy ryzykant przegrywał i musiał oddać słoną sumę panu Stanowi, odbywało się to zawsze w atmosferze pewnego zawodu i niezadowolenia wygrywającego, gdyż nie o pieniądze tu chodziło – miał ich bowiem tak dużo, że mógł przestać je szanować. Chodziło o czystą rozrywkę, choć bywało i tak, że śmiałkowie przepadali bez śladu.

- Czy ktoś z was widział ostatnio Teda Jardine? – zapytał prosto z mostu Jimmy, podchodząc do stolika. – Jestem prywatnym detektywem, wynajęła mnie wytwórnia.

- Szefie złoty, coś ty taki w gorącej wodzie kąpany? A gdzie żeś podział dobre maniery? Nie tak się czesze temat. Może najpierw postawisz nam po browcu? No, ruchy, ruchy.
- Jasne. Nie ma spiny. Powinienem od tego zacząć.

Kiedy dupiasta kelnerka rozdała kufle, odezwał się Val.

- Akurat przechodziłem tamtędy. Jakoś tak ze dwa miesiące temu. Znam tę gębę z pornosów. Patrzę, wchodzi do „Błękitnej Laguny”, lokal nie dla raszplarzy, a że chciałem od niego wydębic autograf, to myślę, że poczekam, jak wyjdzie, ale zaraz zmieniłem zdanie i wszedłem do środka. Jakaś lalunia proponowała mi drinka, zgodziłem się, i wtedy zobaczyłem, że rozmawia, z kim? Z panem Stanem! Z tej gadki wywnioskowałem, że ten aktor jest współwłaścicielem tego burdeliku. Ten ruchacz ugadał się z panem Stanem, że przelecą jakąś Sonię na dwa kable, a kiedy Jardine będzie dochodził, pan Stan robi mu laskę. Zapowiadało się cholernie grubo. Nic więcej nie gadali, weszli do pokoju i tyle ich widziałem.
- A powie mi ktoś, gdzie tego pana Stana namierzyć? To jakiś święty nietykalny? – spytał Jimmy.
- Nie dasz rady, amigo. Trzyma z tymi, których sam sobie wybierze. A jak będziesz go nachodził albo śledził, to będzie sajgon, że ci w locie buty spadną.
- Daję tysiąc baksów za namiary – wchodzi któryś?

Mężczyźni popatrzyli na siebie zaintrygowani, jednak przez chwilę na tym się skończyło.

- Półtora – cisnął Jimmy. – Nie wyglądacie mi na takich, co to śmierzdą flotą.
 - Daj dwa, to ci powiem – powiedział Val. – Masz coś do pisania i jakiś papier?
 - Nie, ale pewnie barman ma.
 - Hej, Freddie, kopsnij mu to, co trzeba.
- Po chwili dostał numer telefonu.

Wieczorem spotkali się na barce, na której Waniliowy Jack, sławny w całym mieście weteran z Wietnamu, prowadził małą, klimatyczną knajpkę z doskonałymi kebabami, rybą z grilla i zimnym, niemieckim piwem.

Nastrojowo paliły się latarenki, kiedy Jimmy podszedł do nich.

- Co tam nowego? – spytał Styropian.
 - Niebawem przykiszę tego pana Stana. Coś mi od niego zalatuje, ale muszę się upewnić. Układa mi się w głowie pewien obraz. Małe, śmierzzące slajdy. Jakiś pogięty cyrk. Wiesz, czasem czujesz gówno, ale nie umiesz go nazwać, określić.
 - A co z Sonią? – zapytał Paco. – Mam ją ciągle w głowie, mam ją tam, Jimmy, i nie może stamtąd wyjść. Wiem, że to ona. To na nią czekałem.
- Choć Styropian i Jimmy widzieli co nieco, nie warto było maltretować kumpla – nie każda prawda to dobra prawda, czasem to zwykły szajs, który może narobić niezłego bigosu.
- Totalny impas, chłopaku. Ale w końcu coś musi drgnąć, życie to nie puste wiadro.

- Znasz ich? – zapytał facet w tanim, pomarańczowym kapeluszu, przykładając do oczu lornetkę.
- Tak. To kolesie tego Estrady.
- Są w temacie?
- Nawet nie poczuli, kiedy założyliśmy im podsłuch.
- Jasne, Wes, ile lat byłeś w policji?
- Dwadzieścia i na koniec wyжебali mnie za rżnięcie małaolat. Wielka mi afera majtkowa. A moje wcześniejsze zasługi? Psu w dupę wlażyły?
- A kij im w oko. Ja wyleciałem za dragi, no wiesz, lubię kolumbijski wdech, i inne takie, po których trzaskasz tak mocarne haluny, że mało mózgu uszami nie wywieje, więc coś tam zawsze zachach-

męciłem, ale się wydało i scenariusz wiadomy: noga, dupa, brama.

- Ale teraz jest w pytę, nie?

- Więcej hajsu w życiu nie kosiłem.

- Starej kupiłem takiego wypasionego Mustanga, rocznik 1967.

- Ja w końcu mam chatę z ogródkiem, a nie jakąś chujnię w czynszówce.

- No widzisz, te lata w policji to była lipa.

- Bo policja to banda zasmarkanych obszczymurów, co to się liżą po fiutach, a jak trafią na chłopaków z miasta, to sadzą kloca w majty. Niech jeden i drugi dyma do starości na poczcie albo w tartaku, a nie bierze się za poważne sprawy, bo tu trza mieć *cojones*, nie? Takim to nigdy broda nie obrośnie.

- Masz. Z moczu miecza nie ukręcisz.

Jimmy zadzwonił tam tylko raz.

Nie było go, albo tak mu powiedziano – szybko zorientował się, że został spławiony.

Szósty zmysł nigdy go nie zawodził.

Kiedy zbierał się do kolejnego telefonu, dostał list.

W środku były dwa potworne zdjęcia, na widok których skoczyło mu ciśnienie, a drżąca ręka instynktownie sięgnęła po butelkę whisky oraz paczkę fajek.

Jedno przedstawiało wiszącego na drzewie Styropiana, lustrującego okolicę trupim wytrzeszczem, drugie zaś Paco, z dziurą po kuli w czole, patrzącego w przestrzeń, jakby gdzieś obok lądowali kosmici.

Była jeszcze kartka z krótkim tekstem, napisanym na maszynie:

Już kumasz?

Do trzech razy sztuka, jak nie odpuścisz, lecisz do piachu jako następny.

Nie dostaniesz kolejnej szansy.

Baw się na innym podwórku, bo na tym nie ma dla ciebie miejsca.

Wiemy, że coś wiesz, ale upowszechnienie tego to kaplica.

Więc rusz czerepem i wyluzuj.

Może wtedy jeszcze trochę pożyczysz.

Inaczej znajdziemy cię nawet na końcu świata.

Ale zanim to nastąpi, pamiętaj, że mamy na oku twoich starych – Blue Street 22, i siostrę z rodziną w Oklahomie, więc poza tobą pozamiatamy po was, jak byście się nigdy nie narodzili.

Coś jeszcze?

Pytania kieruj na Marsa.

Po paru dniach wrócił do speluny „U Sztywnego Ala”, by pogadać z chłopakami.

Zastał tam całą ekipę, łożącą ostro w pokera, i kiedy właśnie zamawiał piwo, do lokalu wszedł Val, uśmiechnięty od ucha do ucha.

Widać było, że chyba nie jest aż tak bardzo na dnie, jakby się mogło wydawać.

Zanim Jimmy zdążył cokolwiek powiedzieć, Val oznajmił:

- Mam zakład.

- Z panem Stanem?

- Tak.

- Pociśniesz temat?

- Jasne.

- Właściwie to powinienem być na ciebie śmiertelnie obrażony, Valery – rzekł spokojnie pan Stan. – Okazałeś mi tyle niewdzięczności, nawet nie raczyłeś powiedzieć osobiście, że odchodzisz. Przez chwilę

było mi przykro. Pewnie jesteś ciekaw, o co się założyliśmy z twoim kolegą, co?

- A jak pan myśli?

- Otóż miał skoczyć z mostu do rzeki i dopłynąć tu, pod nasz samochód. Wyceniłem to na dziesięć tysięcy. Śmieszna suma jak na tyle strachu. No i woda niezbyt ciepła zimą, choć jest nieźle na plusie. Tak sobie pomyślałem, że ty...

- Że co ja?

- Że ty pewnie wolałbyś zarobić o wiele więcej. Czyż nie, Val? Słyszałem o pieniądzach, jakimi do niedawna obracałeś.

- Ale już nie obracam.

- Stałeś się w międzyczasie koneserem życia, smakoszem tego i owego. Już wcześniej chciałem się z tobą założyć, ale tak nagle nas opuściłeś, ty, mój najlepszy pracownik.

- Przejdziemy do sedna, czy mam sobie pójść?

- Mam dla ciebie wyjątkową propozycję. Pamiętasz, Val, moje biuro, to samo, w którym pracowałeś, zanim nie poznałeś lepszych przyjemności?

- Tak. Pamiętam.

- Stawiam je.

- Pan zwariował? Stawia pan własne biuro?

- A kto mi zabroni? Gwiazdkowy prezent, wigilijne szaleństwo. Mam poza nim jeszcze pięć innych.

- Nie rozumiem pana – Valery nie dawał za wygraną.

- To nie jest w tej sytuacji konieczne. Pytam cię zatem: czy zgadzasz się na taką nagrodę? Nie śmierdzisz obecnie forszą. Biorę to pod uwagę i idę ci na rękę. Tak jak kiedyś, pamiętasz, jak dawałem ci tę pracę, co to ją później... Ale nieważne. Już dawno ci wybaczyłem.

- Więc co ja mogę postawić, aby...

- Umowa jest następująca: jeśli wygrasz, dostajesz na własność moje biuro, jeśli zaś nie... wracasz do niego do pracy, jakbyśmy się nigdy nie rozstawali.

- To ma być zakład? Przecież, czego bym nie zrobił, wychodzę na swoje.

- Oczywiście, jeśli zechcesz się ze mną założyć, Val.

- Zatem jeśli przegram i wrócę do pana biura, czy nie będzie pan chciał się na mnie odegrać za to, że odszedłem?

- Obiecuję ci przy świadku, że nie. Przechodzę, zatem do sedna. Znasz zapewne takie miejsce za miastem, gdzie nasza piękna rzeka jest najszersza. Masz szansę wypływać sobie solidne, renomowane w całym kraju biuro. Popłyniesz spokojnie na drugi brzeg i z powrotem. Będziemy czekać na ciebie w samochodzie, a kiedy już wrócisz, przepiszę na ciebie to, co przy świadku obiecałem.

- Ale to kawał wody. Będę musiał potem na tamtym brzegu trochę odpocząć.

- Zaczekamy, ile będzie trzeba, prawda Wit?

- Tak jest, panie Stan.

Po kwadransie dotarli w umówione miejsce.

Podjechali samochodem nad samą rzekę.

Valery bez słowa zaczął się rozbierać.

Gdy był już daleko od brzegu, Wit odezwał się nagle:

- Pan wiedział, że tam, na środku, jest to coś...

- To coś?

- No ten wielki wrak. Leży tam od lat, a w środku cała załoga i martwi pasażerowie. Zakleszczył się i nie dali rady go wyjąć. Potem przestali próbować, bo tam coś nie tak jest...

- O! I co dalej?

- No i tam... są te wiry i podwodna niby trąba, co zasysa każdego, kto tamtędy przepływa.
- To znaczy, że byli już chętni?
- Ponad pięciu ludzi tam utonęło jak dotąd. Czy to nie dziwne, że oni nigdy nie wypływają?
- Co za szkoda.
- Ciekawe, czy on o tym wiedział.
- Kogo to teraz obchodzi, Wit.
- Pan nic o tym nie wiedział?
- A skądże, Wit! Czy narażałbym go na pewne utonięcie?
- Pan ma swoje zasady.
- Oj, żebyś wiedział.

Czekali długo i rozmawiali, patrząc na rzekę - nigdzie im się już nie śpieszyło. W pewnej chwili zapomnieli zupełnie, po co tam przyjechali. Z twarzy pana Stana nie ginał nawet na moment jowialny, opamiętany do perfekcji uśmiech dobrego ojca.

Valery nigdy nie wrócił.

Nie pojawił się na brzegu.

Ani na tamtym, ani na tym, gdzie stał samochód.

Potem, kiedy wszystko było już jasne, Wit zapytał pana Stana:

- A gdyby wrócił, rzeczywiście dałby mu pan swoje biuro?
- To raczej niewykonalne. Dwa dni temu sprzedałem je pewnemu Francuzowi.

Minęły dwa lata, i jak co roku, nadeszła wiosna, a z nią co nieco się zmieniło.

Czasem to, co wczoraj było ważne, dziś staje jedynie się żartem idioty.

I wówczas świat ma już inne kolory, inne dźwięki.

Jest tylko „tu i teraz”, i to, co można z tego wycisnąć.

Jimmy był wtedy u fryzjera, u sędziwego pana Adamsa, posiadacza najstarszego samochodu w miasteczku, który trzymał w specjalnych stojakach stare gazety, czasem kilkuletnie, aby klienci mogli sobie poczytać, czekając na strzyżenie.

Przeglądał bezwiednie kolorową prasę i czekał na swoją kolejkę, słuchając, jak w radio Elvis śpiewa zmysłowo o miłości, która podobno zmienia wszystko, lub wszystko, co dotknie, staje się miłością.

Wtem sięgnął po znaną popołudniówkę, sprzed ponad roku, i pierwszą rzeczą, jaką ujrzał, był ogromny nagłówek:

ŚMIERĆ ZEBRAŁA ŻNIWO

Zaczął czytać, i w miarę jak to robił, wrażenie bolesnego gorąca rozlewało się po ciele.

Czuł, że głowa puchnie od potwornego bólu szalejącej w skroniach krwi, której ciśnienie nagle niebezpiecznie skoczyło. Przeszył go paraliżujący, lodowaty spazm grozy, dusznej i ciężkiej, dławiącej gardło niewidzialnym ciężarem, jakby spadła nań wielka, granitowa płyta.

Jednak nie mógł się oderwać – czytał, choć nie było to łatwe.

W tym tygodniu policja ujęła i aresztowała doskonale zorganizowany, groźny gang zajmujący się nielegalnymi transplantacjami organów ludzkich.

Jej członkowie to wykwalifikowani chirurdzy oraz kilku mężczyzn, których zadaniem było wypatrywanie i porywanie idealnych dawców narządów, którymi byli też uczestnicy tzw. zakładów, jeśli ich wynik za-

kończył się skutkiem śmiertelnym.

Na czele grupy stał Stan R. znany prawnik, który jakiś czas temu wycofał się z czynnej działalności, od lat działając w świecie przestępczym.

Z zeznań oskarżonych niezbicie wynika, że ofiarom wycinano obie nerki i wątrobę, a ciała zakopywano w opuszczonej stodole w okolicach Richmond lub rozpuszczano w kwasie.

Jedną z ofiar gangu był znany aktor filmów dla dorosłych Ted Jardine, ale także pewna prostytutka, kilka studentek, wielu, dobrze zbudowanych, młodych ludzi.

John S., chirurg, członek grupy, określił liczbę zamordowanych na około dwadzieścia osób, choć podejrzewa się, że było ich znacznie więcej, sądząc po stanie kont aresztowanych.

O dalszym ciągu tej makabrycznej sprawy będziemy informować na bieżąco.

Odłożył gazetę i poprosił pana Adamsa o szklankę zimnej wody.

W głowie huczało, kręciło się niemiłosiernie, serce biło jak oszalałe.

Wciąż nie wierzył w to, co właśnie przeczytał, jakby padł nagle ofiarą przedziwnych omamów. Jednak nie były to omamy, była to prawda w całej mrocznej okazałości.

Coś się kończyło, coś zaczynało, bo życie to szalony poker, gdzie gra się na pięć asów, nie znając nawet przeciwnika, nie czując, kiedy blef staje się prawdą.

Tego dnia nie ostrzygł się.

Wrócił do domu, i jakby nigdy nic zrobił jej kawę.

Potem Sally, ta słodka dziewczyna, z którą był od roku i pokochał, powiedziała mu, że chce, by założyli rodzinę, by spełnił się mały, amerykański sen.

Pogładził jej jasne włosy, pocałował, i kiedy przytuliła się do niego, na twarzy zagościł uśmiech.

Miał wszystko to, co powinien mieć prawdziwy mężczyzna, choć nie udało mu się kupić nowego domu – wierzył, że z czasem i to dostanie w prezencie od losu.

Nie musiał już niczego udowadniać, a życie przybrało postać spokojnej, nizinnej rzeki.

I coś mu szeptało, że tego nie straci.

Teraz to już nie groziło, teraz poranek mógł oznaczać tylko dobre wieści.

1 marca 2016

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 11.03.2016 10:33

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.